

Zamiast Nr. 33.

Wesołego Kurjerka

Dodatek nadzwyczajny.

Zabawna historia z djabełem.

Humoreska.

napisał Ign. Kowalski.

Ktoby nie znał pana Zygmunta! Bywał wszędzie i bawił się zawsze. Lubiano go, bo mimo czterdziestki, był gładkim, uprzejmym w obejściu, żartobliwym i o każdej porze dnia wesołym. Wzrostu słusznego, kształtny i nadzwyczaj ruchliwy, pan Zygmunt szczególnie u pań miał łaski.

Nazywały go żartobliwie »starym«, choć nim pewno nie był, ale ze zemsty, że dotąd w okolicy do żadnej na pewno się nie zabierał, chciały go tem mianem zmusić do nałożenia na siebie słodkiego jarzma małżeńskiego.

Pan Zygmunt nigdy się o to nie gniewał, kiedy go tytułowano »starym«; przeciwnie, zdawał się być z tego tytułu zadowolony, bo ile razy która z nadobnych cór zasiada nazwała go »starym«, tyle razy przed nią na jedno klękał kolano i z uszanowaniem całował jej rączki. Robił to z taką pokorą, z taką miną pobożnisia, że całe towarzystwo przytem głośnym wybuchało śmiechem.

— Nieszczęście moje — mawiał powstając — że za wiele róż rośnie na ziemi pałuckiej, a wszystkie takie piękne, że nie wiem, którą wpierw zerwać i przypiąć do...

— Do czego? do czego? — chórem pytały panie.

— A jużćie nie do klapy fraka, tylko do serca starego.

Po takiej odprawie, zawsze panie posmutniały. Rozmowa przechodziła zwykle na inny temat, z czego pan Zygmunt bardzo był zadowolony. Opowiadał po odparciu ataku do serca, przygody, które często miewał ze swoim służącym Maciejem. A były one nieraz zabawne.

Maciej był także kawalerem, ale już szósty nosił krzyżyk. Był przytem jeszcze dość rzeźki i nie jednemu z młodszych nieraz skórę wytrząpał. Na jego barki złożył bowiem pan Zygmunt prowadzenie domu. On był marszałkiem starego dworu.

W imieniu pana godził sługi, odprawiał, a nawet i rządczom wydawał rozkazy, kiedy tego była potrzeba. Wszyscy go słuchali i bali go się, wiedząc o tem, że to robi, co pan chce i nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Żył też z wszystkimi w zgodzie, tylko z gospodynią i jej służącymi nie mógł przyjść do ładu. Pocciwy stary miał jeszcze i tę wadę, że lubił kłąć djabłami. Kłócił się nieraz długo z kobietami, ale podobno nigdy nie wychodził z tej walki zwycięzko. Po każdej takiej utarczce wchodził do swego pokoju, mrucząc coś pod nosem.

— Na djabła się zda z niemi kłótnia. Ady tego piemienia, to sam lucyper nie przekrzyży. Teraz tu się żeń i, miej takiego djabła na karku, jak ta czarna sekutnica — rozumował. — Z jedną toby to jakoś szło,

ale kiedy to jak djabli przywloką, to zaraz prócz żony, jedna, albo ze dwie siostry, pani matka i jakaś stara ciotka się do niej przyczepią i potem, tu siedz w takim piekle.

— Co ty mróczysz stary? — zapytał raz pan Zygmunt, przysłuchując się z ukrycia kłótni i gderaniu Macieja.

— A bo to, proszę pana — z czarownicą z kuchni, to chyba sam djabeł wytrzyma. Ja tak, ona inaczej; ja tu, ona ma złość tam. Jak mi Bóg miły, napędzę na gody tego czarta.

— Ej, nie gniewaj się stary, a przede wszystkim tak tych djabłów nie wzywaj. U ciebie co drugie słowo, to djabeł. Stary jesteś, więc nie grzesz, boby ci było krucho, gdybyś się z nim w cztery oczy zobaczył. Już tyle razy o to cię prosiłem, żebyś djabłami tu nie wojował, a ty zawsze to samo robisz.

— Daruje pan, ale baby to wszystkie — zakrztusił się — po jednych pieniądzech. — Machnął ręką i odszedł.

* * *

Pan Zygmunt wrócił do pokoju i zajął się przeglądaniem poczty.

Po przeczytaniu listów przywołał do siebie Macieja i polecił mu uszykować rzeczy do podróży. Po obiedzie zatoczył się wolancik przed schody dworku. Pan Zygmunt wszedł i kazał woźnicy jechać, nie rzekłszy Maciejowi, dokąd jedzie i jak długo zabawi.

Zdziwiony Maciej stał w drzwiach i tak długo patrzył za bryczką, aż mu z ocz zniknęła.

— U djabła, co to ma znaczyć? — pytał sam siebie. — Dokąd ten szalawiła leci?... Trzasnął drzwiami i poszedł do pokoju pana ułożyć porozrzucane rzeczy. Z gniewu, ani kolacji nie jadł. Zamknął się w swoim pokoju i położył wcześniej spać, ale zasnąć nie mógł. Wstawał, zapalał świecę, żegnał się święconą wodą i kładł, ale sen nie przychodził.

— Jezus, Marja! co to znaczy, że ja spać nie mogę. Czyby to już mnie tam chciano powołać?

W tej chwili jakiś strach go przejął. Zerwał się z łóżka, wziął książeczkę do nabożeństwa, ukląkł przed obrazem i zaczął odmawiać litanie do Matki Boskiej i znów się położył, ale usnąć nie mógł. Męczył się tak do rana. Skoro świtać zaczęło, Maciej wstał, poszedł do pokoju pana, potem do stajni, ale ani pana, ani koni nie było jeszcze w domu. Zachowanie się Macieja dziwiło służbę, ale widząc go zachmurzonego, nie śmiano pytać o przyczynę.

Wracając ze stajni do dworu, spostrzegł gospodynią. Chciał jej zejść drogi, ale za późno ją zobaczył. Musiał obok niej przejść. Ta zaś, ustawicznie z nim tocząc walkę, zapytała, co mu jest, że tak łązi, jakby djabła szukał, którymi tak klnie.

— W imię Ojca i Syna — zawołał przerażony Maciej i zrobiwszy ręką znak krzyża świętego, szedł z drogi gospodyni. Ale ta nie dała za wygraną.

— Co to tak tam u pana dziś pokutowało? — pyta. — Przecież djabłów tam nie było?

Rozgniewany Maciej spojrzał tak przenikliwie na nią, że się z przerażeniem cofnęła.

— Czyż u stu tysięcy — w imię Ojca i Syna — woła Maciej, — ta jedza się odemnie nie odczepi?... A to kara Boża...

— Za tych djabłów, których pan za każdym słowem wzywa.

Powiedziawszy to, zaczęła się głośno śmiać i odeszła.

Maciej rzucił za nią pogardliwe spojrzenie i pobiegł do domu.

— Pan straszy — mówi do siebie Maciej, idąc po schodach — że mnie djabli wezmą, ta stara wygaduje, że djabli u mnie byli. Wszystko się na mnie sprysięgło. Na djabła mam święconą wodę, ale nie ma kłódki, którąby tej babie można gębę zamknąć. Racja jest, że to grzech wzywać tych duchów czarnych, ale cóż na to poradzić, kiedy juchy człeka gniewają. Kiedyś to jeszcze było można użyć kańczuga, ale dziś te prawa, to i wilka w owczarni nie pozwalają zabić. Zaraz na sąd i płac, albo becz w kozie.

* * *

Minęło dni kilka, a pana jeszcze nie było w domu. Nie dziwiono się temu, bo pan często dłuższe robił wycieczki.

W tydzień po wyjeździe pana Zygmunta, powrócił w południe stangret, ale bez pana. Dowiedziano się, że pan w tych dniach będzie w domu, ale nie wiadano, gdzie przebywa.

Ledwie co pozamykano drzwi i wrota i wszyscy słudzy we dworze do snu się pokładli, zjawia się pan Zygmunt w towarzystwie jakiegoś cienkiego i wysokiego mężczyzny. Szli od strony ogrodu na palcach przez brukowany dziedziniec. Przybyszów spostrzegły psy i pędem rzuciły się ze szczeniem na nich, lecz nagle przestały. Poznały bowiem swego pana i zaczęły mu się łąsić. Pan Zygmunt przywołał znakiem stróża i nakazał mu, aby o jego przybyciu nikomu nie mówił.

Pan i towarzysz jego bocznymi drzwiami weszli do dworu. Nikt ze służby ich nie spostrzegł. Pan Zygmunt wprowadził gościa do wielkiej sali, przy której była jego sypialnia. Przez tę salę musiał przechodzić Maciej, chcąc się dostać do sypialni pana. W sali stały wielkie dębowe szafy. Jedną z tych szaf, która była próżna, otworzył pan Zygmunt i spieszenie się oddalił, nie rzekłszy ani słowa.

Zostawiając gościa samego w sali, okrył się pan Zygmunt płaszczem i tą samą drogą wybiegł za ogród.

Niedługo potem zajechała bryczka przede dwór. Psy zaczęły szczeleć. W oczekiwaniu za panem czujnie śpiąca służba, szybko powstała, aby pomódz znieść kuferki i być gotową do usług, jeżeli pan ich zapotrzebuje.

Pierwszy też przy drzwiach był Maciej. Na widok pana ucieszył się bardzo.